

TADEUSZ MALICKI



Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
2288

W KOLIBIE NA JAWORZYNIE

Wł. Ręptowski
J. Ręptowski
od autora.

KRAKÓW 1938
ODBITKA Z «WIERCHÓW» ROK SZESNASTY
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

W kolibie płonie watra. Purpurowe iskierki wznoszą się chwiejnym lotem ku ciemnym dranicom dachu i giną w błękitnym dymie. Leżę na pachnącej cetynie. Przez szeroko otwarte wrota koliby zagląda do wnętrza granatowa noc, cicha i pełna wiru gwiazd. Ze zrębu nad roztoką, dźwiga się coraz wyżej i wyżej czarny jedłowy las, kąpiący się w rosie gwiazd i w złotej lunie wschodzącego księżyca. Chłodna noc pachnie rosą. Na tle tej nocy w kwadracie niskich wrót koliby, siedzi Stanisław Przybytek, mój towarzysz wypraw łowieckich, ongiś klusownik — pogromca dzików. Białe rękawy koszuli, białe wyprawny porębiański serdak purpurowieją od pobrzasku watry. Głębokie cienie błędzą po wąskiej suchej twarzy, pod skrzydłem kłobuka wciśniętego na wylysiałą czaszkę. W małych oczach tlą się wiecznie żywe ognie. Ręce żylaste twarde i spracowane łamią od czasu do czasu gałęzie, którymi sycą watrę.

Pomiędzy nami jest milczenie, wymowniejsze od słów, milczenie, które przeżywa trud dnia wielogodzinnych dróg wierchowych i niezapomniany smak długiej wieczornej zasiadki na zrębie, wśród goryczek i rokicin, kiedy świat nieznacznie tonie w cichy mrok, przesycony zapachem dymów pastuszych i dalekim ich pośpiewem.

Pod brzaskiem wieczornej zorzy, złoto-purpurowym, daleki świat gór, aż hen po Babią staje się coraz bardziej granatowy, coraz bardziej wysoki i daleki.

Przeżywamy radość dnia w nieogarniętym świetle wierchów i roztok, w buczynowej tajni leśnej, na jasnych polanach, i w mrocznych wirydarzach chodników, tam — gdzie nas tylko chciały zanieść cierpliwe kroki myśliwca.

Właśnie wielki księżyc oparł się na jędrach nad rozłoką. Od srebrnego zalewu światła posiwała rosą trawa. Ciepły oddech lasu zmącił się z nocnym chłodem, niosąc przez powietrze aromat skoszonego w dolinach siana, najśłodszy zapach górskiej ziemi, który towarzyszy wspomnieniom wszystkich najradośniejszych dni przeżytych wśród gór.

Pozornie bez przyczyny i związku powiada Stanisław: «Brat mi osiemdziesiąt akrów ziemi w Kanadzie dawał, zebyk u niego hań ostał. Nie chciolek. Tera zły na mnie, nie pisa będzie ze trzydzieści roków.

Mnie haw dobrze w Trubacyk wylecieć, w Pustki...» Tulał się po morzach i ziemicach cudzych, zarabiał krwawe grosze i wracał. Cały zarobek, trud lat płonął wraz z dworską oficyną, «ino sie siwiuskim ogniem te dulary palily». Tam — na obczyźnie może lepiej było żyć niż w zapadłej gorcowskiej wsi a przecież wrócił do twardej poniewierki dworskiego slugi, czleka bez ziemi, jeno żeby móc w Trubacyk wylecieć... w Pustki...

Zawsze czegoś w życiu chciał. Małym chłopcem, poszedł piechotą przez góry do Zakopanego do szkoły rzeźbiarskiej, niosąc w zawiniątku wszystko co mogła mu dać matka: czystą koszulę, owsiany placek i zeszłoroczny oszczypek.

«...byłek pod Siaflarami i poculek glód. Ido... ido... doselek do kilometra przy smentorzu w Siaflarak, siadlek se na kamieniak bo mie nogi zbololy. Wzionek oscypek na tym kilometrze kamieniem tłuc telo beł kwardy...»

To było pięćdziesiąt lat temu. Mały chłopak z pod Turbacza szedł się uczyć, by wyrwać się z czarnej niedoli wsi. Pozostał w niej przemierzywszy oceany, pozostał na całe życie dla jednej jedynej pasji — dla łowiectwa.

Umie wszystko. Spracowane ręce wykonują najmistrzowszą robotę rzeźbiarską, bednarską, ślusarską, precyzyjnie i ze swoistym artyzmem. Wierny towarzysz, druh i myśliwy, surowy dla swoich, prawdomowny, prawy i delikatny, nieoceniony czuły opiekun, moszczący cetynę na krótki letni sen w kolibie, wytrawny tropiciel i przewodnik nocnych podchodów na dzika przy księżycu.

Opowiadajcie Stanisławie!

Nachyla się właśnie nad gaworzącym kotlikiem aby zrobić herbatę. Pijemy.

«...miolek spotkanie roz z dzikiem w Skalisnem Potoku. Wyselek se w Spolone w jarmarcny dzień. Flinte miolek osłozonom pod serdake. Ido a ciężko sie sło bo śnig beł wielgi. Pote zaś trza było dość potokie wodom iść coby mie dworscy nie wyslakowali. Dziwom sie a tu ze Skalisnego Potoka znać bande dzików. Narychtowalek se flinte, ido dali za świrzuśkim tropem a tu na Równiak pięci dzików, jak jałówki wielgie. Uchylilek sie pocichuśku za wiatrolom a tu mos! spod klody sunie prosto na mnie dzik jak kuń wielgi. Zamierzyłek z flinty, a bila ta lefosiówka ponktualnie. Zamierzyłek rzeke

na samo coło, ale mnie jaze strach broł na tego dzika patrzeć, telo wielgom i siwom miol leb. Strzelilek a on spod na kolana i zostol lezeć. Tamta cała banda kolo mnie przelufrowała, ale nie było juz casu do nik strzylać. Ido do tego dzika, patrzem sie z boku, no alek mu doł! Na samo coło kula przysła. Lezy jak kopa siana wielgi, ino murcy. Myślem se: ty ta zdechnies! Nawrócilek sie du dom, a uwazalek pilnie coby stracić ślad. Skakalek po jałowcak, po buckak, selek potokie, jazek zasel dudom. Nie wlażek do izby, zacymek nie nabrusil sikiry.

W izbie dziwek do stu djablów. Zesły się prządki len przojść, rajcujom, śmiejom sie. Moja niebozycka Hanka widzi po mnie ze cosi mom, ale jakze jom z izby ciongnonć kie takie babskie mrowie. Pofiglowolek śnimi kwile pote my powiecerzali a kie sie zaceno zmrokcać baba suko za lampom a ja jom za katane. Widzom baby ze ćma sie robi, światła nie świcom, zabrały sie sitkie do pola.

Uryktowali sie i my i poza ogrody poślimy z Hanką. Idziemy juz po ćmoku przychodzimy na to iste miejsce. Sukom co sie stało, dzika nima!

Straśnie mi sie zrobilo markotno. Rzeke do Hanki — e babo zebyś ty widziala kiel był dzik! Musieli go dworsecy najść i zabrali.

Bez te prządki psiokrew my sie opóznili.

Telo mom ino uciechy ze sie musieli cudować ze go dobry maśnik zabił co na samo coło trefił! Haj raty! cała góra misa sie nam straciła.

Ale przecie nie dawalo mi to spokoja. Wybrolek sie na drugi dzień o świtanu. Mróz był wielgi. Leco roztokom ku Starej Hucie... ślaku, znaku! Słyso, a tu cosi nademnom hurcy! Pozirom przez krzoki, a tu mój dzik! Kiz sie djabli stali ze on na coło strzylony i posed. Tak se miarkujem, ze go musiol paralus porazić bo widzo ze go nogi nie niesom.

Wylozek z krzoka a ten pozira do mnie. Gwarzem do niego: E musiała cie bez noc głowa boleć.

Ta bestyjo do mnie tute ozdziawil, kielcami strugo a z tuty sie krew leje z pianom. Miolek ino sikire, a zaś ku niemu z sikirom iść bojno, bo jesce dość krzepki. Łap ja za kamien i bel! w samom leb! Skwicol, ale wse do mnie klapie. Jo za drugi kamin i zaś, po trzecie jazek natrafil na takom skalke końcystom — bel! w samo to miejsce ka był strzelony. Zapiękło go bo sie wywrócił na bok! Pomalućku ślozek ku niemu, a ten burcy jaze bojno. Zacionek sikirom na lopatke, ale słabo, bok przy tem skielznał a ten lap tutom za toporzysko. Jo hip na brzyzek. Zaś pierem skolami do niego. Ten sie otrząsnał, sikira odpadła i wlece sie pomalućku do takiego baniora i tam lóg! Jo na stare miejsce, zlapalek sikire i dopirok go w tym baniorze ubił.

Stojem nad nim cały juchom zlony i ozmyślujem jakze go tu w tyj wodzie robić? Woda od krwi cyrwona, mogom ludzie na dole postrzec.



Puszcza w Górcach (rezerwat im. Orkana)

Fot. Stefan Jarosz

Woda zimna robić śnim w nij nie bedem, a dźwignonć takom góre som nie udolem. Miolek powróz ze sobom, ścionek smrecka, zrobilek zolustynek, uwiązolek mu powróz u zadku i ciongnem jaze mie w krzizu spiekło. Wyciongnolek zad na brzzynek, podparlek kamieniami, ciongnem zaś zolustynkiem za przodek. Takeg go miol juz na brzysku. Zrobilek maśkierunek, i poselek dudom.

Letko mi sie sło, bez to zek go przecie umęcyl!

Mówiem do Hanki: — Babo zbirojsię, pódziemmy po tego dzika, ale jest groźny. Wzieni my conieco zjeść i poślimy. Łupilimy go w krzakach jaze do zmroku. Nie chciała sie skóra oddzielić, ino my jom nozem od spyрки odrzynali.

Wziena Hanka przedniom noge, nimogła se jom nadać na plecy telo była ciężka. Jo wzion zadniom. Obrócili my sie o nocy zaś i wzieni po nodze. Kie my śli po trzecie, nie kciały nos juz nieść. Wzieni my brzemie ogromne, cale krzyze ś niego jo som na sie wzion, alek sie przy tem oberwał zek mało zywy dudom przisel. Chwyciła me gorącka, kolki klujom, nogi sie podemnom płacom. Ido, ido i nie wim ka jestem, co robiem. Juz dniało kie my sie do chalpy zawlekli. Lezałek panie cały miesiąc w łózk. Taki sie fajny tłusc na kuchni gotował, takie miso, a jo jeść nimóg zanic, jaze mie złość brała.

Po miesiącu poselek za skórą to my jom z Pilkom ledwo we dwuk na dragu śnieśli. To był dzik — raty!»

Rzucił wielką naręcz gałęzi na watę. Burza iskiei uderzyła w strop. Widziałem przed oczyma tę srogą, w surowych słowach skreśloną walkę człeka z ogromnym zwierzem, walkę na kulę, topór i kamienie. Zapachła razem z dymem żywicznym — dawność.

Cichą noc zmącił gwar głosów ludzkich. Daleko od koliby ścieżyną ku Tobolczykowi szli ludzie na jarmark do miasta. Szli chłodną nocą, gwarząc. Śmielszego zwabił pobrzask naszej watry. Zbliżył się ku kolibie wołając z daleka: «Coście za jedni ludzie?»

Stanisław — facecjonista odkrzyknął w noc: «Wy sie nos nie pytojcie cośmy za jedni, ba rychtujcie lo nos dudki, co je niesiecie na jarmark!»

Pytający szybko wsiąknął w ciemne drzewa.

«Nie wojenne som dziś nase chłopcy — mruknął wesoło Stanisław. — Bele co ik splosy».

Ten śmieszny incydent dał mi impuls do pytań o sprawy, które mnie z dawna interesowały.

Posłuchajcie Stanisławie, nie pamiętacie co tam ludzie za waszej młodości rozprawiali o zbójnikach?

«Tutok u nos po Gorcak tota po prowadzie zbójników nie było. Słychać było ale o innyk ze świata od Tater i o Orawcak.

O nasyk to mój własny ujek co sługował u Cichorza opowiadał, że widziol na Buholowem siubienice, ka dwunastu zbójów obiesili i som iście pochowani na tyj kempie, co Jędrus po zajacu siedem razy strzyłol. Ci zbóje byli tutejsi, porębianscy, co jakomsi kase w Krakowie zrabowali. Gwarzili ujek ze sie popołedniu umówili, wiecór stela pošli, a na rano sie bez te jednom noc z Krakowa obrócili. Ale ik połapali. Dwór doł drzewo, skrzესali siubienice na tyj kempie i tam ik powiązanyk zawiedli. Wisali ik w dzień po jednemu. Mówili ujek, ze temu ostatniemu kie mu juz powróz na syjom kładli ciurki z ocu leciały. Krzicol: Ludzie! ej ludzie! skroś tyk siedmi trojaków, marnie ginem.

Drzewij, to tu chodzowali zbójniki od Tater i z za Tatrow. Mieli takie piwnice popod Jaworzynom Kamienickom to w nik siedzieli. Mozecie sami panie popatrzeć i dziśka jak te dziury idom. Jedna tak, jak pod Truboc, druga jak Lubomirz. Idom te dziury spadkiem dołu, ale potem je ciasno, musieli sami zbójnicy zasuć siutrem. Zasypane, zasute. Wzieni roz owcorze — mówi baca Bulanda — koze, wegnali jom w te dziure to dopiro kasi na dobrzańskim wylazła. Boki miała ze sierci odarte, telo tam musiało być ciasno.

Haw mioły zbójniki przesmyki, najwięcej popod Truboc. Pod Trubockom syjom na Limierzach stał tam jeden baca, na samym jejik ślaku. Cho-

dzili ku niemu ci zbójnicy na syr. Co urobił — zjedli. Gwołtem nie brali, ba ino pytali — dej! — no kiebyś im nie doł, to by ci wypłacili.

Ty mos dość — nom hybia — gwarzili do niego. Płakał, a dawał, coz miol robić kie chłopcy były ze zbrojom i wielgie, mocne. Umyślił se przecie baca kainendy sie przenieść. Coz jo tu bedem na nik robić — myśli se — stracem sie z tyj polany, bedzie spokój.

Tak i zrobil. Co sie nie dzieje, nie usiedziol i kilka dni, patrzy a tu idzie polanom taki chłopiec, co ze zbójnikami chodzował i rzyka: Przislali mie tu kolegowie na syr. Dawajcie a pilno.

Zbójniki co go wysłali, ułożyli sie skraju lasa na tota strona, ale ani baca o nik nie wiedziol ani oni ku bacówce widzieć nie mogli bo polana była garbata.

Jakeś ty mie haw naloz? — pyta sie baca.

Wyślakowalek wos.

A kaz twoi kolegowie?

Wy sie o nik nie starajcie a dawajcie syr, kie kazali!

Pocekojze kwile — gwarzi baca — hnet bedzie gotowy. A sam se myśli: Jo cie tu oducem na mój syr chodźć.

Wzion kule, co na nij kociol wisi, i z nienazdania prasnoł tego zbójnicka w leb i zabil. Kie go zabil i widziol ze juz je niezywy, wzion go za karman, wywlókl ze salasa i przykrył patykami.

Cekali zbójniki w kraju lasa i cekali, a kie sie im juz cosi dlugo widzialo, zabrali sie sami ku bacy iść. Przychodzm ku niemu śmiało, stanęli u salasa i pytajom:

Ka nas brat, co tu u ciebie był?

Ulonk się fte dopiro baca kie ik zaś uwidziol. Stały chłopcy w cerwonyk portkak, wielgie w opaskach po pachy. Za opaskami mieli pistolce po dwa po trzi. W garści fuzyje. Kosule na nik były corne od watry, włosy długie, kręcone do warkocy.

Tu go nie belo — prawi baca, a cały stał biały na gembie.

Gdzieś go schowol — krzicom.

Jo go nie chowol, nie widziolek hawoj nikogo na salasie.

Podniósł jeden tom kule a na ni była krew i włosy tego zbójnicka. Na progu — krew. Za salasem krew.

Co to za krew — pytajom.

E dy urzezalek dziśka barana.

Oni nic ino za tom krwiom pošli i našli zbójnicka pod patykami. Prziwiedli ku niemu bace.

Takiegoś barana urzezał?

Najstarszy prawi: To to tak baco? Cemuześ go zabil? Dy nic po tobie nie fciol jacy krug syra. Mały beł a tyś chlop wielgi!

Klenknom przed nimi ten baca, place i gwarzi:

Loboga zbójnikowie! Wywiedlibyście wy mnie na dzioda. Skrony was o z owcami kainendyj uciók, bok juz swoje przez was zbył i ludziom by chybiało co sie im patrzy z miru.

Cemużeś nom nie pedziol co jako? Kiebyś był tak jako dziś sie uzolil, byliby my ci zapłacili i dobrze!

Nie śmiolek!

A zabić toś śmiol? No pockoj!

Kazali mu ci zbójnicy wszystkim żentyce jaka była na sałasie do największego kotła wlać. Kazali mu drwa narąbać i pod kotłem ozłozyc watre. Pote go wzieni, uwiązali rence do nóg i tak go do tego kotła wrzazili. Usiedli se społem dookoła, nie mówili nic ino fajki zapolili a sajty pilno podkładajom. Pokiela móg, pytał ik baca coby mu darowali, pote omgłoł. Kie już ciało na bacy zaceno pyrceć, zabrali sie i pošli.

Paciorek se zmów — pedziol ostatni — za tego chłopca i za swojom zdradzieckom duse.

Pošli chodnikiem a tu napotkali owcarzy. Żenom owcarze owce na połednie i zapatrzyli sie do tyk zbójników, telo sie do słonka tom zbrojom świcili.

Stanęli ci zbójcy rzędem, owcarzy przepuścili telo im ino rzekli:

Idźcie moli, moli, macie tam na sałasie uwarzonego barana.

Pošli, ale se po drodze ci owcorze ugwarzujom:

Co to takie może być, dy my przecie sitkie owce wyzenili? Abo oni barana przinieśli, abo sie z bacom cosi musiało stać!

Hej! Našli go jak w kotle ku nim gołe zęby scyrzył!

Tak to beło. Baców nie napastowali, jacy ino o syr, o żentyce, zwyczajnie, kie głodni byli. Światami sie przecie nieśli to sie i posilić musieli. Kie im kto na zdradzie stoł to sie mścili. Nojracyj na karcmy napadali, na dwory, na gazdów hrubych, kie sie im zwidziało abo ka wyspekulowali ze u nik dudki som.

Nieobdalno od tego miejsca kaście panie łoni w gminnym porębiańskim cietrzewia zabili (hej pięknie tyz tulol) juz popod same Stare Wirchy stała karcma. Som ta po nij jesce opalone ligary na polance. To juz downo! Siedziol tam karcmorz z karcmorkom młodom. Dokoła nad rozłokom lasy hrube, ino ze taka droga haw tamtędy sła jako i dziś idzie, bez Wirchy, bez Rozdziele ku miastu! Tam ta karcma stoła. Našli sie takie opryski skądśi z Orawy co do tyj karcmy przyšli samodwa. Kozali se dać jeść i pić a pilnie sie po izbie i ku kumorze pogładali. Pod wieczór zapłacili i kasi pošli. Nie widzieli sie ci chłopci karcmarzowi, polecioł za nimi pocichuśku na wyziorki. Oni śli lase hore, on za nimi. Siedli se na kamieniu nad Rozdzielem, ten isty kamień po dziś dzień hań lezi i gwarzom:



Widok na Gorce z Kudlonia

Fot. Stefan Jurosz

Karcma jest je bogata, karcmarecka fajna. Penize musom być w kumorze w skrzynie bo kaby inendyj? Sługi nimo, nimo sie co bać! Pódziemy ku nim kie sie ulozom spać! Nie bedzie fciol dudków dać, to go zabijemy, a z karcmareką potańcujemy.

Na to ten drugi: Chłop sie widzi mocny i nie głupi. Joby go o dudki nie pytol ale byk do razu z pistolce ustrzelił. Nimo co śnim długo narabiać, choć ta miejsce puste.

Mówili po orawsku i takom zbójnickom gwarom, ale karcmorz im zrozumiał. Jaze zmiertwiol kie to usłysol!

Obrócił sie pocichutku ku karcmie. Idzie wartko a po dródze ozmyśluje. Cy sie z babom ku wsi zaraz brać, cy sie bronić. Jest je ik ino dwa, a tu baba słaba po pologu, dzicie male, dudków tyz dość, nie letko by sie z tym sło. Lepi kie sie na nik haw doma naryktujemy.

Prziseł dudom i gwarzi babie jak i co. Baba uradziła, coby dźwi w kumorze zamknąć i zastawić, okiennice zamknąć tyz, a były hrube, brzostowe i z sikirom sie przy oknie zatajzić. Dźwierzy nie ozbijom bo gwoździami kute, heba zeby okiennice wywazyli, no to sie za okiennicom zatajimy z sikirami, niek sie dzieje co chce!

Tak i zrobili. Za jakisi cas kie juz całkie zmrokcało, wrócili sie ci

orawcy i burzom do dźwierzy. Karcmarze siedzom cicho przy oknach. Ci burzom, krzicom — otwirojcie my haw na palenku przišli. Oni nic. Próbowali dźwirze wyważyć, nie dało sie im, wzieni sie zaś za okiennice, wyrwali jednom, błony pobili i jeden leb do izby wrazil. Wte go karcmarz bez leb si kirom i niezywego do izby wewlekli. Ten drugi dopirz teraz uwidziol co sie dzieje, uskocyl od okna i z pistolca bez okno do izby strzelil. Kula w ścianie nad samom kołyskom pacla!

Wte wzion krzyceć:

Budzies widzieć gospodzki co ja ci udzielam! Budzies widzieć!

Z tym sie zabral.

No wybronili my sie — gwarzi karcmarz ku babie.

Wzieni tego zabitego wywlekli na młake, a sami wrócili sie do karcme, zabrali co zabrać mieli na wóz, wołu zaprzągali, karcme zaparli, gwoździami okiennice zabili i znieśli sie dołu hań w to miejsce ka dzisiok Jasiok Kraluz.

Markotno było temu karcmarzowi ze nimoze synkować, ale sie boł. Tak mineno w sam michalski miesiąc węcyl jak ćwierć roku, przisło ku niemu pod wiecór trzek chłopów. Ludzi dokoła nie było. Wleźli do izbe. Baby tyz nie belo, zabrała sie ku matce w Porębe. Noc była cichuška jako dziś, ksionżyc świciul.

Kie ik karcmarz uwidziol, wiedziol co bedzie.

Ka mas penize gospodzki — pytali sie.

Penizy u mnie nimos, dalek księdzu na Olsówce przechować.

Doleś przechować? No to ik haw nańdzies. A poznajes ty mie?

Nie! Pirse cie widzem.

Pirse? A kto w karcmie na Wirchak mojemu kamradowi leb ozbil?

Tego to jo nie wim!

No to jo ci przybacem, tak samo ka dudki mos, przybacem ci tyz.

Położyli go na ławie, uwiązali za nogi i ręce, ozwarli na nim kosule i nasamprzód na goły brzuk goroncom wode, co sie na ogniu warzyła — lali!

Ten krzycy, lamentuje.

Ka mas dudki?

U księdza w Olsówce!

Lejom wode zaś aż całkie pamięć stracił. Wzieni go krzysić wódkom i zaś go na spytki, ale nie wydał nic! Wiedziol ze go i tak za ta tego kamrata zabijom.

Dali mu chwile dychnonć, siedli se na ławie, palnenke pijom, ugwarzujom, śmiejom sie.

Po jakimsi casie zaś o dudki pytajom. Kie im juz ani nic nie odpedziol, gwarzi ten nostarsy: No, to tobie juz koniec! My ci tu pieknie odpłacimy za tamtego towarzysia, ino pockej!

Sjeni go z tyj ławy i wynieśli do pola na brzyzek nad potokiem. Tam go ciśli.

Leży karcmarz na rosie, na zimnyj, pozira do nieba na księżyc, na gwiazdy, ostatni roz. Modli sie pocichuśku o prędkie skonanie. Tymczasem zbójnicy sukoli na oborze łańcucha. Našli go i w kuminie, pośrodku ten łańcuch do cyrwona ozpalili. Przyšli z tym łańcuchem na brzyzek, podnieśli karcmarza na nogi i tym łańcuchem opasali bez pól. A pote go ku wodzie stulali. Bła tam skrzyżał nad samym potokiem, to sie na nij obiesił i tak został przez pól ciała przepolony i umar!

Nawet i ta skrzyżał sie opolila i jest podziśka u Kraluzów nad potokiem, przydymiona.

Srogie wte zbóje byli!»

Stanisław umilkł. Księżycowa noc zagładnęła na klepisko koliby jasnym chodnikiem srebrnej poświaty. Watra niesycona drzewem, przygasła żarząc się rubinowo. Daleko od Działku, słyszeć było jęklive pohukiwanie sowy.

«Dobrzeby było dzisiok na Suhore na owies zagłodnonć, musi dzik tam być».

Mamy czas.

«No dyj prowda. Na Wyśnij wcora zryły, nisy salasa. Na tym salasie tyz kiejsi baca siedziol ale uciók, cosi tam strasyło. Gwarzil ze sie ziem tam polila. Sukol na tyk miejscak, nie znoloz nic ino sie mu lopata osmalila. Musiały han być piniaǳe zakopane ale diabelskie.

Trafiały sie i inne. Nieroz, nie dwa, kie zbójnicy z rabónku śli, to ik abo dworskie hajduki, abo i wojsko ozbiło ze pomykali hań bez góry samojeden, samodwa. Zrabowane nieśli, ciężko im było, to zakopali dudki pod skrzyżalom abo pod jedłom, miejsce zaznaczyli, pinionǳe zakleni, i pošli.

Na Kamienickiej Jaworzynie nieobdalno od koliby były zakopane takie zbójnickie penize, ale kto ik zakopał nie wiada, ani ludzie nie wiedzieli, ka one lezom. Gwara ino o tym sła. Bacował hań Mikołaj Bulanda a ten i carować umiol i licyć ludzi i bydło, jako baca.

Kie sie z owcami w jednom wiosne hań wynieśli mieryjdowali owcarze mieryjdzisko. Bili kołem zeleznym dziury ka mieli słupy kłaść, i trafili na takom skrzyżał, co ani dziury nie przebije ani skrzyżali nie dźwignie.

Idom ku bacy i mówiom: Baco! nimożemy na tym miejscu nic robić bo nos skrzyżol nie pusca.

Cosi se ten Bulanda zmiarkował, kazoł im kainendyj kosor robić. Pošli, sukali, našli takie miejsce dobre i hań robili. Bulanda pošli, ka ta skrzyżał i widzi ze była kiejsi dźwigana bo miała końce obite zelezem i jakiejsi po nij były znaki. Casu miol dość, owcarze pošli z owcami pod sam Trubac paść, zrobil se zolustynek i tom skrzyżał het dźwignol i obrócił. Nie chciała sie



Widok na Gorce z Lubonia

Fot. Stan. Mucha

tak łatwo dać dźwignonć nie zeby zolustynek był płony, abo skrzyżał za wielga, ale widno było ze nie chce puścić. Miał na to baca sposoby, dźwigła sie!

Dziwo sie — a tu pod skrzyżalom dziura, w niej kotlik a w kotliku penizel. Musiało być ik majontek, bo kocioł był jak na żentyce i pełny! Wewlók go kainendyj w krzoki, ślaki ka go tocył zamaškirował, i miał sie ku tyj skrzyżali brać, zeby jom na swoje miejsce nastawić a tu mos, przisel najmłodszy owcorz co miał robić drwa a śnim mój niebozycek ociec — Antoni mu było — przisel do miru. Widzom ze skrzyżoł dźwigniona a dziura pod niem wielga, od miedzi osiwiana.

Podropoł sie Bulanda w głowe i gwarzi do ojca: Wicie! wicie! Zabralek sie na polany popatrzeć co jako kany a tu cosi musiało bez ten cas przijść, kotlik z penizami zabralo! Hej raty! musiol sie tyz nimi skrzepić! Ale kto by to miał taki być? Bili owcarze doły pod słupy, nie dało im haw bić. Musiol ten zmiarkować że trza sie wartko z tym zabrać stela.

Nie widziało sie to mojemu ojcu nieboszykowi, ale nie odezwol sie nic, bo coż bedzie gwarził kie sie ten kryje.

Widno było pote ze sie ten Mikołaj Bulanda zbogacił i jak! Ale chłop był dobry, dość ludziom pomagał.

Nie nachodzili ludzie tak mocki tyk piniendzy bo były zaklente i trza było na nik wiedzieć sposób. Bali się tyz, bo przecie wte jesce widowali po polak strzygonie, dziwozonki planetniki, wierzyli w nie świence. Trza było wiedzieć sposób jak tu takim przyjść. Dzisok się z tego ludzie śmiejom, ale przódzi nie było im do śmichu kie im dróge zastompilo i dali nie puścilo. Musiol się wrócić kciół cy nie kciół.

Różne to bywało. Jo sam takie widziół, co temu do dziśka nie rozumie...»

Stary dość pilnie zaczął poprawiać watrę. Zaśnięty płomień liznął łapczywie chraść, jaskrawy wysoki płomień załał wnętrze koliby.

Cóżeście takiego widzieli Stanisławie?

Chwilę stary żuł szczękami, zapatrzony w płomień.

«Jo z małego nie bylek bojaźliwy, bo nima się cęgo na świecie bać, ale kie se na to zbacem cok widziół, troche mi bojno, bo do dziśka nie rozumiem temu.

Bylek fte małym chłopakom, miólek siostrę w ćtyrok latach a mnie licyli może dziewięć, może dziesięć. A były jesce przy nos ze społectwa dwa dziewczenta i jeden chłopok. Jo pas barany a tamci gensi. Zyto się wte suło. Barany obległy pod brzyzkom, gensi przy wodzie, słonko parło. Był hrabski trac nad to wodę nad Kuninom koło osiedla Bekaca, a był na naszym groncie. Trac był dookoła obity deskami, ale jedna deska była oburwana to my do tego traca nieraz po ciekawości wlazili.

Skoro my mieli cas, mówiem do tyk dzieci — pódźmy sukać ptoków na tracu! A te gniazda były wysoko nad bantami. Skoro tam nie było nic wleźlimy pod trac i zobacyli my do razu na tym wale ka się obraca koło wodne i paleczne cosi takie, co było udane jak lalka, a głowe miało nie więksom jak jajko. Włosy miało strącyste, lewom renke na uchu, prawom na biedrze i to było ziwe.

Głupie my byli, wzieni my w to prać skolami. Ale ono się raz po razu uchylało. Az tu nase dziwce krzykło, że barany w życie. Sitko wyleciało do pola a jo ino krzikiół — pockojcie mie! Chyciłek za kamien i beł w to! w samym głowe na coko kamien przisel. Kopyrtło się i wpadło pod koło do wody. Tam się straciło. Poziralek za tem ka je, wylecialek nad wodę — straciło się. Wte mie strach obujon!

Niedługo pote woda trac zabrała i na tym miejscu ustawili mój tata młynek. Wse mi było bojno tam iść i cliwo nawet pote, kie już bylek chłopok!

Nie dziwota, że choć bida, ludzie tyk dudków nie sukali pilno! Casem się same odkryły.

Jak stara karcma na Tyrawie pod Lubomierzem, tam były w brzegu nade drugom zatajone piniondze. W kwietniom niedziele sła jedna baba ku matce do wsi, a tu zaraz u Marka brzeg się do słonka oberwał i kotlik się z dukatami wysuł. Nie było jakosi nikogo na drudze to się babina zwinęła,

wziena te dudki do zapaski a kotlik prasła do potoka. Były tego wielgie brzemie, ledwie dudom doniesła. Chłop siedziol w izbie, pozira na niom bo baba była na gembie cyrwona, uznojona i pyta sie: Coz to takie dźwigos?

Wysła baba te dudki na łózko, i mówi co — jako. Wzieni je ogłondać a były i złote i śrybne ale złotyk było wiency. Nie mogli nijakim sposobem wyrozumieć temu kielo te dudki płacom.

Do miasta niść bali sie, ze im zabierom, no to pozwali takiego przekrzte co siedzial na Rzykach coby przeznol te piniondze. Widzi przekrzta kieli to majontek, ale gwarzi ze on tym dudkom nimoze wyrozumieć i za kielu ryńskik te dudki mogom stać. Pytali go coby po wsi nie ozpowiadał to im obiecal i poseł.

Za jakisi cas wybrol sie jij chłop z deskami do Bochnie. W nocy baba śpi a tu dźwirze wywalili jacysi chlopi na gembie znurceni, chycili babe za rence i pytajom o te dudki co je nasła.

Nie fciała wydać. Ni — pada — nimom dudków, naślimy to prowda ale je chłop ze sobom do Bochni zabral, na wymianki.

Wzieni jom mencyć. Lali jij gorącom wode po piersiach, baba nie wydała. Lali wode po plecak, po nogak, nie wydała.

Widzom ze ji nie dadzom rady choć baba mało ziwa ale kwarda. Pockojze my ci tu jesce cosi kasi pokozemy, gwarzom do ni.

Wzieni sierdzeń, ozpalili w ogniu do cerwona i chcieli tyj babie wrazić do.... wte zesłała i wydała. Zabrali piniondze i pošli.

Wtedy sie dźwigła i tak jak stała zabrala sie do ksiendza pozolić. Zasta ku mojj matce mało ziwa i wte jom matka widzieli na ziwe ocy, poranionom i spuchnientom.

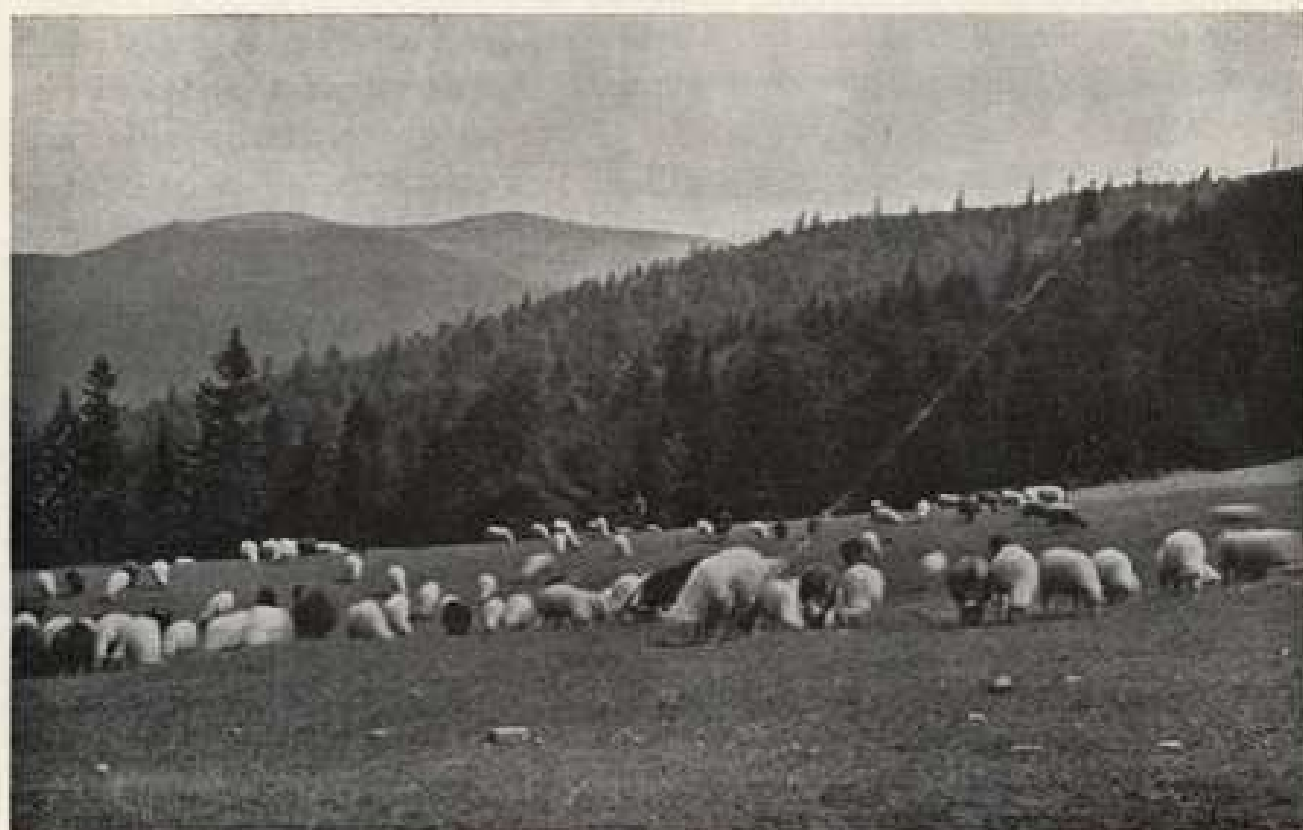
Przekrzta sie kasi ze wsi stracił. Babe ostawił i — ślaku znaku po nim. Widowali go pote kasi nasi ludzie na Węgrak, ka rozpocął z nowa zidowskom wiarom. Tym to ta nie wysło tak dobrze, jako Bulandowi.

Musialy te dudki być jakosi zaklente ze z nik nie mieli nic ci co ik naśli.

Dyjto przecie nie tak dawno jak Cichorcyk korcowal z Kuciapom jablonie na ogrodzie. Korcujom takom starom wielgom jabłoni co juz nie rodzila, bijom bikiem pod korzenie, a tu cosi zazbyrcalo. Wzieni pomaluśku okopować, naśli kotlik a w nim piniondze, nie wiadomo cy zbójeckie, cy z rabonku. Co tu robić, ludzie dokola, dzieciska, zasuli toto ziemiom i tak sie umówili ze kie sie bedzie zmrokcać haw sie zeńdom i podzielom, kie juz nik nie bedzie na nik uwazować. Kuciapa był chłop powolny i fajny, Cichorcyk wartki i chytry.

Co tu gadać, ubiegl ten Cichorcyk Kuciape, dudki zabral i pote przisel i cudował sie co to mogło być takie ze im ten kotlik zabralo.

Musialo być i tyk dudków moc, bo sie Cichorcyków syn po wsiak tulol, pil, płacił a sam Cichorcyk nawet hrabiemu Aliksandrowi piniondze pozycyl.



Gorc z pod Kudłonia

Fot. Stefan Jarosz

Jak nastał Hadicak na leśniczego do Poremby pokazał mu taki Sobestyjon na Rozdzielu jedle, co w korzeniak miała dudki zakopane. Našli chlopi tam kotlik i do majstratu do miasta zanieśli ale były płone, miedziane. Nie płaciły nic abo mało.

A kiela ik jesse lezi w Gorcu, w Pustkak, na Trubacyku, na Luboniu, fto ta wi fto by ik policyl?

Ci co ik pochowali, dawno ziem gryzom, abo zabici, abo obieseni, abo pomarci.

No panie! Trza sie nom brać w Suhore. Te chlopy comy ik nastrachali dawno przešli, wiatru nima, cicho, jasno, biermy sie!»

Zaraz Stanisławie, jeszcze chwilke, mówiliście że dawniej ludzie wierzyli w dziwożonki, planetniki, strzygonie. Jakże wyglądał ten strzygoń i co robił? gdzie siedział?

«Strzygoń był to cłeczek nie duży, cały obrośniony włosom jak dzik, telo ze zębce i pazdury miol wielgie. Siedziol w takik pustkach, na rozdzielach, na śtyrbnych brzyskach, ludziom despecil, przeganiał z wyrębu, a i nieroz zabił abo udowil.

Beł taki chłop nazywał sie Pasternak a niedawno sie ozenil. Baba jego beła za sluzke u innygo gazdy, wołali go Michalorz.

Kie sie ten Pasternak miol zenić, mówi do swojij coby sła ze sluzby. E wis — mówi ta dziwka — nolezy mi sie 5 lokci płótna na paruche, kie

wysłuzem do końca. Zol mi iść. Chybia mi jesce dwa miesionce. Odesła przecie, ale ji gaździna tego płótna nie dała. Wołała na niom, ale ta ni i ni, nie nolezy ci sie, boś przed case odesła. Dobrze niebardzo mineno mało casu, spi se ta gaździna w izbie i śnije sie ji ze sie pokozol ten chlop co sie z jij sluzkom ozenil, pokiwoł do ni palce i gwarzi: Oddej moji to płótno, co se na nie zaslugowała.

Obudzila sie, mówi swemu tak i tak mi sie śniło ale, pada, jo jij tego płótna nie dom bo sie ji nienolezy.

Chlop jod, nie goda nic a pote wzion woły orać. Na polednie obrócił sie dudom bioly jak wapno. Pada do baby: Babo mirzój siedem łokci płótna i pošlij Pasternakowi.

Cyś ty chłopie zgłupioł, krzycy ta baba, niedość ze sie jij nie nolezy jesce mom ji dwa łokcie więcy dawać.

Moli — pada chlop — mirzój płótno. Trza temu chłopu na gacie i śmiertelnom kosule slać telo — kielo sie vse — dawa łokci 7, bo on juz nie zije i umarty do ciebie przisel o płótno prosić. Strzygoń go udowil.

A było tak ze sie ten chlop do lasa z wozem i wołami wybrol i nie wiadomo poco bo drzewa nimioł, z dworskiego by nie broł, boby sie boł tak śmiało jechać. Cosi tam musioł mieć. Na noc sie nie wrócił. Baba w lament, pošli chłopi rano onego sukać i našli go w niedobrem miejscu ka taki wysoki brzyg. Wóz lezoł wywrócony, ale nie do potoka ba ku ścianie, a chlop po drugij stronie na brzyzku niezyw, okrwawiony. Ziem była dokoła pazdurami zryta, jakby tam sam djaboł tańcowoł jaze strach było na to patrzeć.

No panie chodźmy...»

Wyszliśmy w cichą srebrną noc. Ani jeden oddech wiatru nie zmaćil wonnej, chłodnej ciszy. Nieogarnięte mrowie gwiazd mrugało na wysokiem granatowem niebie. Od czasu do czasu wielki meteoryt znaczył się oślepiającą smugą przelotu w otchłani nieba. Szliśmy grzebieniem Jaworzyny ku Tobołczykowi. Po jednej stronie — głęboka roztoka nad Porębą — po drugiej ku Hucisku, skąd dochodził nas stłumiony szmer potoka. Garbate olbrzymy gór, okryte czarnym lasem, śniły swój nieodmienny sen nocy sierpniowej. Gdzieś na wyrębie zbeczał rogacz.

Niestrudzony Stanisław zaczął półgłosem:

«Było to we wojnie. Posełek se na zajoncka, ido, patrz a tu po Basielce idzie dzik za Bukowinom. Maluško sie ozwidniało, przymizolek do niego i bel! a ten do lasa.

Wróćilek sie, aby ślaku nie robić, pośniadałek doma coby sie za ten cas ucisyło. Zajonek babe i wrócilimy tam za farbom sukoć. Widze krew ze ślinami nieobdalno od tego miejsca ka był strzylany. Idem dali, wypatrujem, a ta psiokrew siedzi na tyłku pod pniokę, łeb ma obwiśniętom ale kielcami struze!

Wołam na babe: Hanka pódź!

Jest?

Je — ale ziwy.

Kie wysła nad niego, jaze zbielala na gembie, ni mogła garla ozewrzyć teli koń był wielgi i straszny. Siedlimy se nad nim siedzimy, pocekamy — mówie — jaze zdeknie.

Siedzo, siedzo, jaze popoledniu zabrał sie ten dzik iść, zesel nizey, ino sie krzoki surajom. Jency, hurcy, co raty, jaze po lesie zgielcy. Myślem se, słuchać złą krew na cały las: zejdom sie ludzie najdom jego i nas. Ludzi belo dość po lesie a to za jagodami, tu zaś nieobdalno pasom, ej raty! Wycofalimy sie a tu nisy drogi zryte, pelno krwie, poziram do krzoków nade druge a ten lezi nieziwy. Fte o dzika nie było tak trudno jako teraz».

Weszliśmy w ciemną szyję pomiędzy Tobołczykiem a Suchorą. Ogromne buki srebrzyły się w księżycu bezszumnym listowiem. Czarne jedle majaczyły w poświęcie wyciągając ku niebu konary. Otaczał nas ze wszystkich stron dech gór. Niedaleko smużyło się w wylocie tunelu owsiane poletko.

«Haw panie ostancie z tego kraja, tchnął mi najcichszym szeptem w ucho Stanisław. Uważajcie on haw z doła wyńdzie. Stancie se na tym kopcu pod jedlom w cieniu i uważajcie pilno. Jo oblecem dokola na tota strona».

Zniknął jak duch. Otoczyła mnie dookoła ciemna pachnąca noc. Oparty o chropawą jedlę zapatrzyłem się w popielatą polanę, w czarną ścianę lasu od której jeszcze głębszą czernią odcinał się mały napół rozwalony szałas. Zwidziały mi się w tym momencie widma tych, co tę ziem deptali w niekończących się tajemnych zbójeckich pochodach. Ożyły ich pieśnią drzewa, góry i polany.

Zwidzieli mi się bacowie pozierający na okraj świata za białym welnistym kerdelem owiec, strzelcy surowi i nieustępliwi, dawny drzewiejszy świat...

Czas płynął w szumie gwiazd. Gdzieś na wschodzie niebo stało się zaledwo bledsze, odezwał się puszczyk.

Noc, przechodzącą w rozbudzenie poranka, rozdarł strzał. Ocknąłem się wstrząśnięty tem nagłym rozerwaniem ciszy. Echo niosło się ku Turbaczowi i wracało, tłukąc się po roztokach. Głośno, radośnie wezwał mnie Stanisław. Ruszyłem. Na rosie leżał w czarnej kałuży własnej krwi, duży wycinek.

Uradowałem się dobrym strzałem i wreszcie nie bez cienia zazdrości zapytałem starego wygę:

Powiedzcie mi Stanisławie czemu dziki zawsze najchętniej na chłopów wychodzą?

Chłop panie dzikowi nie śmierdzi! — nie bez ironji odpowiedział stary.

Poręba Wielka — Zakopane, marzec 1938.

